Alan E. Nourse

Wrak

(Derelict)

If, May 1953
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

John Sabo, zastępca dowódcy, poderwał się na swej koi, mrugając w ciemności z zaskoczeniem. Alarm wypełniał rykiem całą Stację Satelitarną, a jego ostry, drażniący nerwy terkot odbijał się wielokrotnie echem od metalowych ścian korytarzy, docierając do każdego zakamarka, szczeliny i pomieszczenia samotnej placówki, jazgocząc niesamowicie w ciemnościach okresu nocnego. Sabo otrząsnął się ze snu i wtedy w jego umyśle buchnął paniczny strach. Alarm! Wyskakując w ciemnościach z koi, walnął z hukiem w przeciwległą gródź i wykręcając budzące zawrót głowy łamańce w niemożliwej grawitacji, zaczął szukać swoich magnabutów, z łupiącym gwałtownie w uszach tętnem. Alarm! Niemożliwe, po tak długim czasie, po tych długich miesiącach pełnego goryczy oczekiwania... Na korytarzu zderzył się z wyglądającym jak przerażony gnom Brownie i wywarkując pod nosem przekleństwa, popędził korytarzem do Centrum Kontroli.

Przerażone oczy zwróciły się na niego, gdy stał mrugając, oślepiony przez jasne światła w pomieszczeniu. W panującym gwarze zdezorientowanej, paplaniny niespokojnych głosów, otrząsnął głowę, zaklął i przedarł się przez rozgorączkowanych ludzi w stronę ekranu.

— Wyłączyć ten przeklęty alarm! — zaryczał, mrugając i licząc twarze. — Niech ktoś wyciągnie starego z jego worka, pronto, i zatrzyma ten jazgot! Co się dzieje?

Radiowiec machnął mniej więcej w stronę ekranu widokowego, połyskującego na wielkim bocznym panelu.

— Właśnie go wyłapaliśmy...

Był to statek, wyłaniający się spoza pierścieni Saturna, ogromna, szaro-czarna plama na srebrzystym ekranie. Zbliżał się do stacji z ciężką, niezgrabną gracją, powiększając się z każdą sekundą, gdy pędził w ich kierunku. Sabo poczuł, jak strach przepełnia mu umysł, wypędzając z niego wszystkie myśli, i opadł na fotel sterowniczy działając jak dobrze wyszkolony automat. Szare oczy miał szeroko otwarte, wytrenowane przez lata służby wojskowej, aby niczego nie przegapić; jego palce poruszały się po panelu ze zręcznością i wprawą.

— Posłać ludzi na stanowiska — warknął. — I niech ktoś uprzejmie poprosi tu kapitana, jeśli uda mu się poświęcić chwilę czasu.

— Jestem tutaj. — Mały siwiejący mężczyzna stał u jego boku, wpatrując się w ekran gniewnymi czerwonymi oczami. — Kto panu kazał wyłączyć alarm?

— Nikt mi nie kazał. Wszyscy już tu byli i działał mi na nerwy.

— Jak mi przykro. — Głos kapitana Loomisa był lodowaty. — Ja wydaję rozkazy na tej stacji — rzucił gładko, – i proszę o tym pamiętać. — Popatrzył groźnie na wielki szary statek, zbliżający się coraz bardziej. — Jaki jest jego kurs?

— Minie nas co najmniej o kilka tysięcy kilos. Proszę na niego popatrzeć! To *przybysz*.

— Skontaktować się z nim! To jest to, na co czekaliśmy. — Głos kapitana zabrzmiał ochryple.

Sabo pokręcił pokrętłem i zaklął.

— Nie udało się. Nie mogę się połączyć. On nas mija…

— W takim razie złap go chwytakami, ty głupcze! Co, mam panu może jeszcze nosek wytrzeć?

Twarz Sabo pociemniała ze złości. Powoli i z precyzją ustawił namiary servo na ogromny szary kadłub majaczący na ekranie, a następnie ostro pstryknął przełącznikami. Dwa małe servo wystawiły swe tępe nosy z doku lądowania Stacji i w ciszy wyślizgnęły się, obok siebie, w kosmos. Następnie, niczym para wytresowanych owczarków, popędziły kierowane wiązkami naprowadzającymi, od Stacji prosto w kierunku zbliżającego się statku. Intruz był ciemny i przemieszczał się obok Stacji z ogromną prędkością, jakby nieświadom jej istnienia. Servo leciały coraz dalej i nagle rozdzieliły się, a potem zawróciły, zakręcając długimi łukami, by zbliżyć się do dziwnego statku z obu stron, ostatecznie zrównując się z nim prędkością. Nastąpił gwałtowny rozbłysk energii pomiędzy kontaktami; po czym w zwolnionym tempie niczym gigantyczny potwór, statek szarpnął się w pustej przestrzeni i wykręcił, zawracając wdzięcznym łukiem, kiedy servo-chwytaki wczepiły się w niego jak pijawki i zajęczały, lśniąc na czerwono przepływającą przez nie energią szarpnięcia. Sabo przyglądał się temu wstrzymując oddech, dopóki wielki statek nie obrócił się, nie zwolnił i nie zatrzymał się. Potem ruszył z powrotem i servo triumfalnie poprowadziły go do doku lądowania Stacji.

Sabo rzucił okiem na radiooperatora, marszcząc brwi na czole.

— Wciąż nic?

— Ani piknięcia.

Popatrzył na wielki statek, czując dreszcz zdumienia i strachu przebiegający mu po plecach.

— A więc to jest ta tajemnicza zagadka Saturna — wymamrotał. — To jest to, na co czekaliśmy.

Kiedy uniósł wzrok, w oczach kapitana Loomisa pojawił się dziwny, pełen entuzjazmu blask.

— O, nie. To nie jest to.

— Co?

— Nie to. Statki, które widziano wcześniej, były niewielkie i płaskie. — Jego malutkie oczka przesunęły się w stronę statku i z powrotem na ciężką twarz Sabo. — To jest coś innego, coś zupełnie innego. — Uśmiech wykrzywił mu usta, zatarł dłonie. — Wybraliśmy się na płotki, a wracamy z wielorybem. Ten statek jest z kosmosu, z głębokiego kosmosu. Nie pochodzi z Saturna. Ten pochodzi z gwiazd.

Dziwny statek unosił się koło Stacji Satelitarnej, milczący jak grobowiec, ciągle łagodnie się obracał, w miarę jak stacja powoli wędrowała po orbicie wokół Saturna.

Zebrani w kabinie kapitańskiej ludzie poruszali się nerwowo, z niepokojem spoglądając w pełne entuzjazmu oczy kapitana. Stary człowiek krążył po kabinie ze zmierzwionymi białymi włosami i twarzą

czerwoną z podniecenia. Gdy stanął przed załogą, nawet jego starannie schowana za maską spokoju twarz nie była w stanie ukryć płonącego mu oczach zapału.

— Wciąż brak kontaktu? — spytał radiooperatora.

Radiowiec niespokojnie pokręcił głową.

— Ani śladu. Próbowałem każdego znanego mi sygnału, na każdej częstotliwości fali, która mogłaby do nich dotrzeć. Próbowałem nawet kilkunastu częstotliwości, które nie mogłyby się do nich przebić, i nie ruszyło ich to ani trochę. Po prostu, nie odpowiadają.

Kapitan Loomis zwrócił się do wszystkich ludzi.

— No dobrze, chcę żeby to było jasne. To jest nasza zdobycz. Nie wiemy, co jest na jego pokładzie i nie wiemy, skąd on pochodzi, ale to nasz pryz. To oznacza, że nawet słowo na ten temat nie może trafić do domu, dopóki nie dowiemy się o nim wszystkiego, czego możemy się dowiedzieć. Otrzymamy nasze nagrody od niego samego, a nie od jakiegoś gorliwego admirała w domu…

Ludzie poruszyli się zdenerwowani, a ich zmartwione spojrzenia szukały z niepokojem twarzy Sabo.

— A co z prawem? — warknął Sabo. — Zgodnie z prawem, o wszystkim musimy zameldować w ciągu dwóch godzin.

— W takim razie złamiemy prawo — rzucił ostro kapitan. — Ja jestem kapitanem tej stacji, i takie są moje rozkazy. Nie musicie się martwić o prawo – dopilnuję, żebyście byli chronieni, ale to jest za duża rzecz, żeby się namyślać. Ten statek pochodzi z gwiazd. To znaczy, że musi mieć napęd międzygwiezdny. Rozumiecie, co to oznacza. Rząd stanie na głowie, żeby nas wynagrodzić…

Sabo skrzywił się, i zatroskanie na twarzach ludzi pogłębiło się jeszcze. Trudno było sobie wyobrazić, że rząd staje na głowie dla kogokolwiek. Za dobrze wiedzieli, jak działa rząd. Słyszeli o szybkich procesach, o surowych więzieniach czekających nawet na drobnych przestępców. Rząd wojskowy nie miał czasu do stracenia na tych, którzy wyszli przed szereg, nie miał litości. A ludzie wiedzieli, że ich kapitan nie jest dobrze widziany w najwyższych kręgach rządowych. Sprawni dowódcy patrolu nie byli przerzucani do odległych, stacji satelitarnych, w pozbawionych życia układach, jeśli ich notowania w rządzie były wysokie. W głębi duszy, ludzie jakoś czuli, że nie mogą ufać temu małemu, białowłosemu człowiekowi o bystrych oczach. Zasługi za takie odkrycie mogły spaść na niego, zgadza się – ale niewiele z tego pozostanie dla nich.

— Prawo… — powtórzył z uporem Sabo.

— Do diabła z prawem! Stacjonujemy tutaj, na tym odludziu, żeby obserwować Saturna i zgłaszać wszelką pochodzącą z niego aktywność, którą dostrzeżemy. W naszych rozkazach nie ma ani słowa na żaden inny temat. Uważają, że wylatywały stąd jakieś statki, ale przecież, nie ten statek. Rząd wydał grube miliardy na próby wynalezienia napędu międzygwiezdnego i nie zrobił jeszcze nawet pierwszego kroku. — Kapitan zatrzymał się, oczy mu się zwęziły. — Wejdziemy na pokład tego statku — powiedział cicho. — Dowiemy się, co znajduje się na jego pokładzie i skąd on pochodzi, oraz zabierzemy z niego napęd. Jak na razie, nie było jeszcze

żadnych śladów oporu, ale może być to niebezpieczne. Nie wolno nam niczego zakładać. Grupa pokładowa będzie mi meldować o wszystkim, co tam znajdzie. Jednym z nich musi być specjalista od napędu. Czyli ty, Brownie.

Niewielki człowieczek o bystrych, czarnych oczach szybko uniósł głowę.

— Nie wiem, czy będę w stanie cokolwiek powiedzieć…

— Będziesz w stanie powiedzieć więcej niż ktokolwiek inny z tu obecnych. Nikt z nas nie zna się na napędach kosmicznych. Liczę na ciebie. Jeśli sporządzisz dobry raport, może uda nam się skasować pewne… niefortunne pozycje z twoich rejestrów. Ale jeszcze ktoś powinien wejść na pokład razem z tobą… — jego oczy zwróciły się w stronę Johna Sabo.

— Nie ja. To pańska sprawa. — Oczy zastępcy dowódcy były ponure. — To rażące naruszenie prawa i dobrze pan o tym wie. Zakują pana w kajdanki, kiedy wrócimy. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

— Otrzymał pan rozkazy, Sabo. Ciągle pan o tym zapomina.

— To nielegalne rozkazy, sir!

— Przyjmę za to odpowiedzialność.

Sabo popatrzył dowódcy prosto w oczy.

— Chce pan powiedzieć, że sprzedałby pan nas do szczurzej nory, żeby ocalić swoją skórę. To ma pan na myśli.

Oczy kapitana Loomisa rozszerzyły się z niedowierzaniem. Potem twarz mu pociemniała i podszedł bardzo blisko wielkiego mężczyzny.

— Myślę, że powinien pan bardziej zważać na swój język — warknął. — Proszę uważać, co do mnie mówi, Sabo. Niech pan bardzo uważa. Jeśli pan tego nie zrobi to kiedy wrócimy do domu, sam pan wyląduje w kajdankach i zobaczymy jak długo pan wytrzyma. A teraz, otrzymał pan rozkazy. Wejdzie pan na pokład statku, razem z Brownie.

Pięści wielkiego mężczyzny zacisnęły się, aż pobielały mu kostki.

— Nie wie pan, co tam jest! — wybuchnął. — Możemy zostać zabici!

Uśmiech kapitana wyglądał wyjątkowo nieprzyjemnie.

— To byłaby ogromna szkoda — mruknął. — Naprawdę nie chciałbym czegoś takiego oglądać…

Statek wisiał ciemny i cichy, jak cienisty duch. Na jego pokładzie nie było widać żadnego błysku światła; spoza smukłych, ciemnych płyt kadłuba nie wydobywał się żaden dźwięk, ani najsłabsza oznaka życia. Wisiał tam, ogromny i niesamowity, krążąc wraz ze stacją po jej bezgłośnej orbicie.

Ludzie tłoczyli się wokół Sabo i Brownie, pomagając im założyć skafandry, sprawdzając sprzęt. Obserwowali, jak małe, chrząszcze skanerów pełzają po powierzchni wielkiego statku, badając, sondując każdy zakamarek i szczelinę, przekazując informacje o kryształach, metalach i żelazach, podczas gdy grupa pokładowa przygotowywała się do wyjścia. A równocześnie radiooperator czujnie wyglądał każdego śladu życia ze strony mrocznego olbrzyma.

Pomimo obaw, że uczestniczą w czymś nielegalnym, przybycie statku wywołało w załodze zmiany, rozpalając w ich oczach ognie podniecenia. Poruszali się żwawiej, ich głosy stały się lżejsze, bardziej radosne. Długie miesiące spędzone na Stacji zszargały im nerwy – pozbawieni byli kontaktu z domem, wysłano ich w misję, po cichu wyszydzaną jako kompletna głupota Rządu. Statki rzeczywiście widziano, jak znikały w posępnej, jasnej atmosferycznej pokrywie Saturna, ale stało się to wiele lat wcześniej, zaś od tamtej pory nie było żadnych śladów czegoś nowego. A tam, w tym odległym regionie kosmosu, na samotnej strażnicy Stacji, nerwy ulegały wyczerpaniu, poprzez stałe oczekiwanie, nieustanną obserwację, niszcząc w końcu nawet żelazną dyscyplinę wojskowego wyszkolenia załogi. Coraz bardziej byli znużeni widokiem tych samych twarzy, tą samą rutyną życia, ciągle powtarzającą się bezczynnością. I przez miesiące, obserwowali z rosnącym niepokojem rozwijający się konflikt, pomiędzy kapitanem a jego zgorzkniałym, ponurym zastępcą, Johnem Sabo.

I wtedy przyleciał statek, niesamowity, z głębin kosmosu, a napięcie samotności uległo zapomnieniu w natłoku działalności. Śluzy jęknęły i otworzyły się, gdy dwaj ludzie wyłonili się ze stacji na małych saniach napędowych, połączonych ze stacją lekkimi jedwabnymi linami asekuracyjnymi. Sabo usadził się na saniach, przeklinając sam siebie za to, że tak głupio wplątał się w plan kapitana, przeklinając się że nie potrafił utrzymać języka za zębami. A głęboko w duszy poczuł nowe uczucie, mglisty niepokój i niepewność, których nie czuł przez wszystkie lata swego wojskowego życia. Obcy statek był czymś kompletnie odmiennym od normalności, niewiarygodnym czynnikiem, który wtargnął nagle w jego mały światek nienawiści i zgorzknienia, zmuszając go do zapuszczenia się na nieznane terytorium, wtłaczając w jego umysł lawinę wątpliwości i lęków. Popatrzył niespokojnie na Brownie, odrobinę żałując, że nie ma z nim kogoś innego. Brownie sprawiał kłopoty, Brownie za dużo mówił, Brownie filozofował w świecie, który wyśmiewał filozofię. Znał już wcześniej ludzi takich jak Brownie i wiedział, że nie można im ufać.

Szary kadłub lśnił, kiedy zbliżali się do niego, do tej monstrualnej ściany z wypolerowanego metalu. Nie było widać żadnych wgnieceń, żadnych śladów na poszyciu, po podróży przez kosmos. Bez trudu znaleźli wejście do śluzy, w pobliżu szczytu kadłuba statku, i Brownie zaczął sondować obrzeże śluzy przy pomocy kilkunastu przyrządów, a jego ciemne oczy płonęły niecierpliwością. A potem, z piskiem, który przeszył uszy Sabo, owalny właz statku zadrżał i powoli się otworzył.

W ciszy sanie zanurzyły się w otwór. Znaleźli się w małym zamkniętym pomieszczeniu, dosyć ciemnym, a sanie powoli osiadły na metalowym pokładzie. Sabo podniósł się z siedzenia, nastawiając swoje audio na najwyższą czułość i podszedł do Brownie. Na chwilę zetknęli hełmy razem i dobiegł do niego podekscytowany głos Brownie, przytłumiony, ale mówiący z zapartym tchem.

— Nie było żadnego problemu, żeby go otworzyć. Działa na tych samych zasadach, co nasze.

— Lepiej zabierz się do pracy nad wewnętrznym włazem.

Brownie rzucił mu ostre spojrzenie.

— Ale co z tymi w środku? To znaczy, nie możemy tak po prostu do nich wejść …

— Dlaczego nie? Próbowaliśmy się z nimi skontaktować.

Mały inżynier niechętnie zaczął badać drżącymi palcami wewnętrzny właz. Kilka minut później przecisnęli się przez niego i powoli szli ciemnym korytarzem, czekając z walącymi sercami na jakiś dźwięk, znak. Korytarz łączył się z kolejnym, a potem jeszcze z jednym, aż wreszcie dotarli do wielkich owalnych drzwi. I w końcu znaleźli się w samym środku, w sercu statku, a ich oczy rozszerzyły się, gdy zobaczyli widok pośrodku wielkiej, potężnie sklepionej komory.

— Mój Boże! — W panującej ciszy głos Brownie zabrzmiał jak ochrypły szept. — Spójrz na nich, Johnny!

Sabo powoli przeszedł przez pomieszczenie w stronę delikatnej, zmiażdżonej postaci leżącej na wielkim, błyszczącym panelu. Cienkie, prawie pozbawione kości ręce rozsmarowane zostały na twardym metalu; owalna, humanoidalna czaszka rozbita jak skorupa jajka na gałkach i dźwigniach panelu sterowania. Nagła groza przeszyła wielkiego mężczyznę, gdy rozejrzał się dokoła. W głębi pomieszczenia widać było kolejne stworzenie i jeszcze jedno, wtopione w podłogę i panele, jak pozbawiona życia galareta.

Delikatnie oderwał kawałek zaschniętej galarety z metalowego pulpitu, po czym odwrócił się z mieszaniną zdumienia i obrzydzenia na twarzy.

— Wszyscy martwi — mruknął.

Brownie popatrzył na niego, ręce mu drżały.

— Nic dziwnego, że nie było żadnych oznak życia. — Rozejrzał się bezradnie. — To wrak, Johnny. Dryfuje. Jak to się mogło stać? Jak dawno temu?

Sabo otrząsnął głowę, oszołomiony.

— A więc, to tylko przypadek, że przybył do nas, że go zobaczyliśmy…

— Nie ma pilota, nie ma żadnych map. Może dryfował przez wieki. — Brownie rozejrzał się po pomieszczeniu z przerażeniem na twarzy. A potem pochylił się nad panelem kontrolnym, badając rzędy dźwigni, z zapałem obmacując palcami okablowanie.

Sabo skinął głową z aprobatą.

— Będziemy musieli go przeczesać — powiedział. — Ja zobaczę, co uda się znaleźć w pozostałej części statku. Ty zajmij się sterami i napędem.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył szybko z okrągłej komory i znów wyszedł na korytarz, niemalże czując jak żołądek wywraca się mu na lewą stronę.

Zajęło im to wiele godzin. Poruszali się w zupełnej ciszy, tak jakby nawet najsłabszy dźwięk mógł przeszkadzać śpiącym obcym istotom, roztrzaskanym na ciemnych metalowych panelach. W innym pomieszczeniu znajdowały się mapy, wspaniałe, piękne mapy, zupełnie nieznane, usiane formacjami gwiazd, których nigdy nie widział, opatrzone dziwacznymi, symbolami o nieznanym znaczeniu. Sabo pracując, słyszał, jak Brownie schodzi w głąb statku, zmierzając w stronę gigantycznej maszynowni. Wtedy w umyśle Sabo włączył się z kliknięciem cichy alarm,

ściskając mu żołądek i z krzykiem domagając się by go usłyszał. Z bijącym sercem rzucił się korytarzem jak kot, prawie widząc w myślach jasne, pełne entuzjazmu oczy inżyniera. Nagle dotarło do niego znaczenie tego zapału. Zbiegł po drabinie, potem korytarzem i kolejną drabiną w dół do maszynowni, prawie zderzając się z Brownie, kiedy ten przechodził od jednego z silników, do baterii generatorów po drugiej stronie pomieszczenia.

— Brownie!

— Co się stało?

Sabo wzdrygnął się, po czym się odwrócił.

— Nic — mruknął. — Tylko coś mi przyszło do głowy.

Ale obserwował, jak mały człowieczek wślizguje się w labirynt prądnic, cewek i drutów, oglądając je z zapałem, mierząc, przeszukując, robiąc notatki w małym notesie, trzymanym w dłoni.

W końcu, kilka godzin później, ponownie ruszyli w stronę śluzy, w której zostawili sanie. Żadne słowo nie padło między nimi. Niepokój w umyśle Sabo stał się teraz silny, pogłębiał się, mieszając ze strachem i przeczuciem zbliżania się czegoś złego. Martwy statek, wrak, przybył do nich przez przypadek, z jakiejś niewyobrażalnie odległej gwiazdy. Zaklął, nie wiedząc czemu, i nagle poczuł, że nienawidzi Brownie tak samo, jak nienawidził czekającego na nich na Stacji kapitana.

Ale kiedy wszedł do śluzy Stacji, nagle przyszła mu do głowy inna myśl, niemal oślepiając go swoim nieoczekiwanym charakterem. Popatrzył na szczupłą twarz inżyniera, a ręce mu drżały, gdy zdejmował skafander.

Składanie raportu kapitanowi, celowo zajęło mu więcej czasu, niż było to konieczne. Rozwodził się nad nieistotnymi szczegółami i obserwował ze złośliwym rozbawieniem narastającą irytację kapitana. Wzrok kapitana Loomisa przesunął się na Brownie, jakby próbował z twarzy inżyniera odczytać informacje, których pragnął. Sabo powoli zwinął mapy, układając je w stos na biurku.

— Tak to wygląda, panie kapitanie. Może wykwalifikowany astronom mógłby coś z tym zrobić, ja nie mam ani odpowiedniej wiedzy ani przyrządów. Statek ponad wszelkie wątpliwości przybył spoza układu. Prawdopodobnie z planety o mniejszej sile grawitacji niż nasza, sądząc po kruchości tych stworzeń. Oddychali tlenem, biorąc pod uwagę wygląd ich zbiorników gazu. Jeśli mnie pan zapyta, powiedziałbym…

— Dobrze, dobrze — wykrztusił niecierpliwie kapitan. — Może pan to wszystko spisać i przekazać mi później. Nie jest ważne, skąd pochodzą ani czy oddychają tlenem, czy fluorem. — Popatrzył na inżyniera i drżącymi palcami zapalił cygaro. Najważniejsze jest to, jak się tutaj dostali. Napęd, Brownie. Przejrzałeś dokładnie silniki? Co znalazłeś?

Brownie drgnął niespokojnie i wbił wzrok w podłogę.

— Och, tak, zbadałem je uważnie. Nie było zbyt trudne. Przyjrzałem się każdej maszynie na tym statku, od dziobu do rufy.

Sabo powoli skinął głową, uważnie przyglądając się małemu człowieczkowi o pustej twarzy.

— Zgadza się. Zrobiłeś niezły przegląd.

Brownie oblizał usta.

— To stary wrak, tak jak powiedział Johnny. Oni są martwi. Wszyscy. Prawdopodobnie nie żyją już od dawna. Oczywiście nie jestem w stanie tego określić. Ale muszą być martwi od wieków…

Oczy kapitana zamrugały, gdy zrozumiał implikacje tych słów.

— Zaraz, chwileczkę — powiedział. — Co masz na myśli od wieków?

Brownie ciągle wpatrywał się w swoje buty.

— Stosy atomowe były prawie martwe — mruknął z przepraszającym jękiem. — Ten statek nigdzie nie leciał, panie kapitanie. Po prostu dryfował. Może błąkał się przez tysiące lat. — Wziął głęboki oddech i przez krótką chwilę jego oczy napotkały spojrzenie kapitana. — Oni nie mają napędu międzygwiezdnego, panie kapitanie. Tylko zwykły, prosty, powolny atomik. Nic więcej. Podróżowali przez stulecia i powrót zająłby im równie długo.

Głos kapitana brzmiał piskliwie, był zdławiony.

— Chcesz mi powiedzieć, że ich napęd nie różni się od naszego? Że ten statek naprawdę wędrował przez przestrzeń międzygwiezdną bez napędu kosmicznego?

Brownie bezradnie rozłożył ręce.

— Coś musiało pójść nie tak. Pewnie wyruszyli na inną planetę w swoim własnym układzie i coś poszło nie tak. Wydostali się w kosmos i wszyscy zginęli. A statek po prostu dalej dryfował. Wcale nie planowali skoku międzygwiezdnego. Nie mogli. Nie mieli do tego odpowiedniego napędu.

Kapitan siedział odchylony do tyłu z otępiałą, pobladłą twarzą. Po słowach Brownie światło w jego oczach przygasło; siedział, jakby otrzymał potężny cios.

— Czy… czy możesz się mylić? Nie mogłeś czegoś przegapić?

Spojrzenie Brownie uciekło nieszczęśliwie w bok, a jego głos brzmiał bardzo słabo.

— Nie, panie kapitanie.

Kapitan patrzył na nich przez dłuższą chwilę zbolałym spojrzeniem, jak chore dziecko. Powoli podniósł jedną z map, poruszając w milczeniu wargami. Następnie, z pełnym goryczy rykiem, rzucił ją w twarz Sabo.

— Wynoś się stąd! Zabierz te śmieci i wynoś się! I poślij ludzi na ich stanowiska. Jesteśmy tutaj, żeby obserwować Saturna i na Boga, będziemy obserwować Saturna!

Odwrócił się z ręką zakrywającą oczy, i kiedy wychodzili z kabiny, słyszeli jego charczący, ciężki oddech.

Powoli Brownie wyszedł na korytarz i ruszył w stronę swojej kabiny, a Sabo w milczeniu podążał tuż za nim. Inżynier raz uniósł wzrok, na ciężką twarz zastępcy dowódcy, z błagalnym wyrazem w swych ciemnobrązowych oczach, a potem otworzył drzwi do swojej kwatery. Sabo jak kot przemknął przed nim do kabiny, wciągając go za sobą do środka i zatrzaskując za nimi drzwi. Chwycił szaleńczo małego człowieczka

jedną ręką za szyję i bezceremonialnie wepchnął go w drzwi. Jego głos zmienił się w złośliwy szept.

— No dobrze, gadaj! Mów zaraz!

Brownie zakrztusił się, oczy wyszły mu z orbit, twarz poszarzała w przyćmionym świetle kabiny.

— Johnny! Puść mnie! Czego ty ode mnie chcesz? Dusisz mnie, Johnny…

Oczy pierwszego oficera były czerwone z gniewu; ciężkie zmarszczki wstrętu i goryczy wychodziły mu z kącików oczu i ust.

— Ty śmierdzący mały kłamco! Mów, do diabła! W tej chwili nie masz do czynienia z kapitanem, rozmawiasz ze mną, a ja wydobędę z ciebie prawdę, nawet jeśli będę musiał po to zrobić dziurę w twoim zakutym łbie…

— Powiedziałem prawdę! Nie wiem, o co ci chodzi…

Dłoń Sabo plasnęła go w twarz, szarpiąc jego głową jak jabłkiem na sznurku.

— To była zła odpowiedź — warknął. — Ostrzegam cię, nie kłam! Kapitan to ambitny osioł i nie potrafiłby wymyślić sposobu użycia tabliczki mnożenia. To zwykły gnojek. Ale ja nie jestem aż taki tępy. — Pchnął małego człowieczka na podłogę, jego oczy płonęły. — Ty durny głupcze, twoja historyjka jest pełna takich dziur, że zmieściłby się w nie czołg. Po prostu tak sobie stali i umarli, co? I ja niby mam w to uwierzyć? Tacy rozmaśleni na pulpitach, jak widzieliśmy? Tylko jedna rzecz mogła zmiażdżyć ich ciała w taki sposób. Każdy głupiec by to dostrzegł. Przyspieszenie. I nie chodzi mi o przyspieszenie atomowe. To było coś innego. — Patrzył ze złością na drżącego na podłodze człowieka. — Mieli napęd międzygwiezdny, prawda, Brownie?

Brownie skinął głową, słabo, niemal szlochając, próbując się podnieść.

— Nie mów kapitanowi — załkał. — Och, Johnny, na miłość boską, posłuchaj mnie, nie zdradź mu że kłamałem. I tak chciałem ci to powiedzieć, Johnny, naprawdę chciałem. Mam plan, dobry plan, nie rozumiesz tego? — Błysk podniecenia powrócił do jego bystrych, małych oczu. — Mieli napęd, zgadza się. Ich podróż trwała prawdopodobnie tylko kilka miesięcy. Mają napęd, którego nigdy wcześniej nie widziałem, nie atomowy. Nie potrafię określić jego zasady, na podstawie tego co widziałem, ale myślę, że powinien on działać. — Usiadł, całe jego ciało dygotało. — Nie zdradź mnie, Johnny, posłuchaj przez chwilę…

Sabo oparł się o koję, wpatrując się w małego człowieczka.

— Zwariowałeś — powiedział cicho. — Nie wiesz, co robisz. Co zamierzasz zrobić, kiedy Jego Wysokość poleci tam, żeby samemu rzucić na wszystko okiem? Jest głupi, ale nie aż tak głupi.

Głos Brownie dławił się, w swej żarliwości inżynier wyrzucał z siebie jedno słowo za drugim.

— Nie będzie miał szansy tego zobaczyć, Johnny. Dopóki sam tego nie obejrzy, musi wierzyć nam na słowo, a my możemy go zatrzymać…

Sabo zamrugał powiekami.

— Dzień lub dwa – może. Ale co później? Och, jak mogłeś być taki głupi? On jest na wylocie, wypadł z łask i walczy o życie. Ta napęd jest

przełomem, który może go ponownie postawić na szczycie. Czy nie widzisz, jakim on jest egoistą? Musi być, w tym świecie, aby czegokolwiek się dochrapać. Jeśli tylko zdoła zniszczy wszystko i każdego, kto będzie próbował go zatrzymać. Czy nie widzisz tego? Kiedy zobaczy tamten statek, twoje życie nie będzie warte splunięcia.

Brownie trząsł się, gdy usiadł naprzeciw wielkiego mężczyzny. Jego głos brzmiał ochryple w małej kabinie, ciężki od bólu i beznadziejności.

— Zgadza się — przyznał. — Moje życie nie jest warte nawet funta kłaków. Twoje też nie. Tak samo wszystkich innych, tutaj czy w domu. Niczyje życie nie jest warte złamanego grosza. Coś nam się przydarzyło w ciągu ostatnich stu lat, Johnny, coś okropnego. Widziałem jak to się skrada i wzbiera wokół nas, przez całe moje życie. Ludzie już nie mają znaczenia, liczy się tylko rząd i to co on myśli. To pajęcza sieć, rak który rośnie według własnego wzorca, dopóki nie zajdzie tak daleko, że nie będzie można go już powstrzymać. Ludzie tacy jak Loomis potrafią dostrzec ten wzorzec i dostosować się do niego, odrzucić wszystkie wartościowe sprawy, miłość, piękno i pokój, które kiedyś mieliśmy w naszym życiu. Tacy ludzie mogą do czegoś dotrzeć, mogą zmienić swoje życie w wspinaczkową grę, czekając na szansę, by posunąć się trochę dalej w stronę szczytu, trochę bliżej jakiegoś pozoru bezpieczeństwa…

— Wszyscy się do tego dostosowują — warknął Sabo. — Muszą. Chyba nie widzisz mnie, jako człowieka poświęcającego się dla innych, co? Ja zajmuję się tylko sobą i wierz mi, zdaję sobie z tego sprawę. Nie obchodzisz mnie ty, ani Loomis, czy jakakolwiek inna żywa istota – tylko ja. Chcę pozostać przy życiu, to wszystko. Jesteś marzycielem, Brownie. Ale dopóki nie uda ci się taki numer jak ten, musisz nauczyć się przestać marzyć, jeśli chcesz…

— Nie, nie, mylisz się - och, strasznie się mylisz, Johnny. Niektórzy z nas nie potrafią się przystosować, nie mamy w sobie tego, czego potrzeba, albo mamy w sobie coś innego, co nie pozwoli nam pójść dalej. I od razu jesteśmy pokonani, zanim jeszcze nawet zaczniemy. Nie ma w tych czasach dla nas miejsca i nigdy go nie będzie. — Popatrzył w niewzruszoną twarz swojego rozmówcy. — Żyjemy w świecie, do którego nie należymy, uwięzieni w bezsensownej, niekończącej się serii bitew, potyczek oraz długich, samotnych okresów oczekiwania, podsycając obłąkaną żądzę rządu do ekspansji, do planet, do gwiazd, coraz dalej i dalej, aby zdobyć coraz więcej i więcej. Musimy brnąć dalej, szukając coraz to nowszych i większych światów do podboju, nie mając niczego, czym można by je podbić i żadnych powodów aby je podbijać. Gdzieś indziej w naszym Układzie Słonecznym są żywe istoty, a więc muszą one zostać odszukane i podbite, bez względu na to, jakie i gdzie one są. Żyjemy w świecie wojny i strachu, i nie było w nim miejsca dla mnie i innych takich jak ja, dopóki nie przybył ten statek…

Sabo popatrzył na niego dziwnie.

— A więc miałem rację. Wyczytałem to w twojej twarzy, kiedy przeszukiwaliśmy statek. Wiedziałem, o czym myślisz… — Jego twarz pociemniała ze złości. — Nie udałoby ci się uciec, Brownie. Gdzie miałbyś

polecieć, co spodziewałeś się znaleźć? Mówisz o śmierci, Brownie. O niczym innym…

— Nie, nie. Posłuchaj mnie, Johnny. — Brownie nachylił się bliżej, jego oczy błyszczały, skupione na ciężkiej twarzy pierwszego oficera. — Kapitan musi wierzyć nam na słowo, dopóki sam nie zobaczy statku. Nawet wtedy nie będzie mógł niczego stwierdzić z pewnością – ja jestem jedynym inżynierem napędu na Stacji. Mamy mapy, moglibyśmy nad nimi pracować, spróbować dowiedzieć się, skąd przybył statek; już mam pewne pojęcie, jak obsługiwany jest jego napęd. Jeszcze jedne oględziny i mógłbym sprawić, że zacznie działać. Pomyśl o tym, Johnny! Jaka to różnica, dokąd się udamy lub co znajdziemy? Ty też jesteś odmieńcem, dobrze o tym wiesz – ta twoja szorstkość i gorycz to zewnętrzna skorupa, gdybyś tylko mógł ją zobaczyć, zwykłe pozory. Tak naprawdę nie wierzysz w ten świat, w którym żyjemy – co za różnica gdzie, gdybyśmy tylko mogli odejść stąd, uciec? Och, to jest szansa, szaleńcza, dziwaczna szansa, ale możemy ją wykorzystać…

— Gdybym tylko mógł uciec od NIEGO — wyznał Sabo stłumionym głosem. — Boże, jak ja go nienawidzę. Widziałem już w życiu małostkowość i ambicję – małoduszność i zdradę, wiele razy. Ale ten człowiek to cały nasz świat skondensowany w jednej małej pigułce. Nie sądzę, żebym wrócił do domu pierwej go nie zabiwszy, tylko po to, żeby ten głos przestał gadać, tylko po to, żeby choć raz zobaczyć strach na jego twarzy. Ale gdybyśmy zabrali statek, złamałoby go to na dobre. — W oczach wielkiego mężczyzny pojawiło się światło. — Byłby skończony, Brownie. Ugotowany.

— A my bylibyśmy wolni…

Wzrok Sabo był ostry.

— A co z przyspieszeniem? Zabiło tych, którzy przylecieli tym statkiem.

— Ale oni byli tacy delikatni, tacy słabi. Lekkie, kruche kości i miękka galareta. Nasze ciała są mocne, moglibyśmy to znieść.

Sabo długo siedział, wpatrując się w Brownie. Jego umysł nagle, oszołomiony przez zakres tego pomysłu, popędził w niezliczonych wirujących fantazjach, paradował mu przed oczami obrazami długich, gorzkich, lat frustracji, beznadziejności własnego życia, tępego bólu, który czuł w głębi duszy i kości, za każdym razem gdy schodził na Ziemię by dołączyć do tłumów głodnych ludzi. Pomyślał o długich rzędach szarych mieszkań, wychudłych twarzach, pustych, zaszczutych oczach ludzi, których widział. Wiedział, że właśnie dlatego został żołnierzem – ponieważ żołnierze dobrze jedli, mieli czas na sen, nigdy nie pozwalano im rozmyślać przez długie godziny, zastanawiać się i stawać się tępymi oraz pustymi. Ale wiedział, że jego życie było puste. Było to życie bezmyślnego automatu, przemieszczającego się z miejsca na miejsce, nigdy nie myślącego, nigdy nie mającego śmiałości myśleć ani mówić, mając nadzieję tylko na codzienną pracę bez bólu i snu bez koszmarów.

A potem pomyślał o nocach swego dzieciństwa, gdy leżał, spocony ze strachu, kiedy statki powietrzne z rykiem przemykały po ciemnym niebie, nigdy nie wiedział dokąd; a potem, słysząc dudniące eksplozje w oddali,

grał ze sobą w tę okropną gierkę – jak daleko uda mu się doliczyć, zanim usłyszy na drodze zmęczone, szurające kroki, przenoszących się w inne miejsce ludzi. Już jako mały chłopiec wiedział, że jedyne bezpieczne miejsce jest w tych bombowcach, że miejscem w którym można przetrwać, są uderzające armie, i jego życie przebiegało według tego ciężko wyuczonego schematu, zmieniając go w cynicznego najemnego żołnierza, stępiając jego bystry i mądry umysł, wtłaczając w niego sposoby funkcjonowania i reakcje oparte na rozkazach i posłuszeństwie, odbierając mu dziedzictwo miłości i człowieczeństwa. Inni, mniej skłonni do zastanawiania się ludzie, byli szczęśliwsi; udawało im się zapomnieć o życiu, które znali wcześniej, byli w stanie łatwo i szybko nauczyć się lekcji wyrzeknięcia się praw człowieka, która jak zaraza rozchodziła się po świecie. Ale Sabo też był odmieńcem, wtłoczonym w formę, do której nie mógł pasować. Wyczuwał to mgliście, nigdy tak naprawdę nie zdając sobie sprawy, kiedy i jak zbudował skorupę twardości i cynizmu, ale także mgliście wyczuwając, że została ona zbudowana, i że dzięki niej może jakoś bawić się i śmiać, z siebie samego, swych przywódców i całego świata, na którym mozolnie pędził życie. Śmiał się, ale pozostawały długie noce, w ciemności, w wąskiej koi statku kosmicznego, kiedy jego umysł walił w tę skorupę, krzycząc jak w koszmarze, i zastanawiając się, czy tak naprawdę nie postradał zmysłów.

Jego szare oczy zwęziły się, gdy popatrzył na Brownie, i poczuł że serce bije mu w piersi, bije z wściekłością, której nie mógł już dłużej zaprzeczać.

— Musiałoby to odbyć się szybko — powiedział cicho. — Jak uderzenie gromu, dziś wieczorem, jutro, niedługo.

— Och, tak, wiem o tym. Ale możemy to zrobić…

— Tak — oznajmił Sabo z twardym, gorzkim błyskiem w oczach. — Może nam się uda.

Czas przygotowań przepełniony był napięciem. Po raz pierwszy w życiu Sabo poznał prawdziwe znaczenie słowa strach, czując w atmosferze wokół siebie aurę nagłej śmierci, w każdym spojrzeniu, w każdym słowie otaczających go ludzi. Wydawało się niewiarygodne, że kapitan nie zauważył krótkich rozmów z małym inżynierem, ani jego własnych nagłych okresów zniknięcia z życia Stacji. Ale kapitan siedział tylko w swojej kabinie, z gniewnymi oczyma, rzucając jedynie odpowiedzi na pytania, nawet nie unosząc wzroku. Mimo to Sabo zdawał sobie sprawę, że ziarna podejrzeń spoczywały zasiane w jego umyśle, gotowe wybuchnąć ze straszliwą gwałtownością przy każdej najdrobniejszej nawet prowokacji. W miarę postępu prac, ucieczka zajmowała coraz większą część myśli Sabo; wiedział z narastającą siłą i śmiałością, że nic nie zdoła go powstrzymać. Statek był tuż w zasięgu ręki, jedyny most ucieczki od życia, którego nie mógł już dłużej znieść, i determinacja zaślepiała w nim rozwagę.

Przede wszystkim rozmyślał nad mapami, podczas gdy Brownie, coraz bardziej zdenerwowany, poświęcił się studiowaniu swoich notatek i

szkiców. Konieczne było drugie spojrzenie na silniki; wysmażona przez nich wymówka dla powrotu na statek była lekkomyślnie słaba i Sabo spędził wyczerpujące pięć minut na wymyślaniu sposobów wybicia kapitanowi z głowy pomysłu towarzyszenia im. Jednak oczy kapitana były puste i chodził tylko po swojej kabinie, pogrążony w ponurym, pełnym wyrzutów transie.

Upływał czas, i obaj mężczyźni z rozpaczą spostrzegali, że będą potrzebować więcej cennych, coraz bardziej niebezpiecznych godzin, zanim będzie można podjąć próbę lotu. Wtedy nagle Sabo odebrał wezwanie do kabiny kapitana. Znalazł starego człowieka przy biurku, przyglądającego mu się zimnymi oczami, i serce w nim zamarło. Kapitan wskazał mu miejsce, po czym usiadł za biurkiem, z bolesną powolnością zapalając cygaro.

— Chciałbym, żeby mi pan powiedział — oznajmił pozbawionym życia głosem — dokładnie, co pan sądzi o Brownie.

Sabo zlodowaciał. Ostrożnie wpatrywał się w twarz kapitana.

— Myślę, że jest zbyt nerwowy — odparł. — Nie pasuje do Stacji Satelitarnej. Powinien zostać w domu. To miejsce działa mu na nerwy.

— Nie spodobał mi się jego raport.

— Wiem — stwierdził Sabo.

Kapitan zmrużył oczy.

— Trudno jest w to wszystko uwierzyć. Statki nie przylatują sobie tak po prostu z kosmosu. Nie wyruszają też przez przypadek w rejsy między gwiazdami. — Nieprzyjemny uśmiech wykrzywił mu usta. — Nie mówię panu niczego nowego. Nie chciałbym oczywiście oskarżać Brownie o kłamstwo – ani pana również. Ale wkrótce wszystkiego się dowiemy. Za godzinę przyleci tu statek patrolowy z bazy zaopatrzeniowej Tryton. Wezwałem go natychmiast jak tylko otrzymałem wasz raport. — Jego uśmiech rozszerzył się złośliwie. — Statek patrolowy przywiezie na pokładzie ekspertów. Ekspertów od napędów kosmicznych. Sprawdzą wasze słowa.

— Za godzinę…

Kapitan uśmiechnął się.

— Tak właśnie powiedziałem. W ciągu tej godziny mógłby pan wyznać mi prawdę. Nie jestem specjalistą od napędów, jestem administratorem, organizatorem i dyrektorem. To wy jesteście technikami. Prawda przekazana teraz, mogłaby oszczędzić wam wielu nieszczęść – w przyszłości.

Sabo wstał ciężko.

— Otrzymał pan od nas informacje — oznajmił z gorzkim śmiechem. — Statek patrolowy to potwierdzi.

Twarz kapitana poszarzała.

— W porządku — powiedział. — Proszę, niech pan się śmieje. W każdym razie, powiedziałem panu.

Sabo nawet nie zdawał sobie sprawy, jak mocno drżą mu ręce, dopóki nie dotarł do końca korytarza. Zrozpaczony widział, jak ich plan rozpada się na ich oczach, a wraz z rozpaczą pojawił się zimny strumień strachu.

Patrol ich zdemaskuje, ujawni mistyfikację. Nie mieli wyboru, gotowi czy nie, muszą uciekać.

Szybko skręcił do centralnej sterówki, w której pracował Brownie. Usiadł koło niego, cicho powtarzając mu wiadomości od kapitana.

— Godzina! Ale jak mielibyśmy…

— Musimy. Nie możemy teraz zrezygnować, będziemy martwi, jeśli to zrobimy.

Oczy Brownie rozszerzyły się ze strachu.

— Ale nie możemy ich jakoś pozwodzić? Może gdybyśmy wystąpili przeciwko kapitanowi…

— Załoga go poprze. Nie odważą się pójść za nami. Musimy uciekać, nic więcej. — Wziął głęboki oddech. — Czy potrafisz kontrolować napęd?

Brownie wpatrywał się w swoje dłonie.

— T-tak myślę. Muszę tylko spróbować.

— Musisz. Teraz albo nigdy. Zejdź do śluzy, a ja przyniosę mapy. Przygotuj sanie.

Zdjął mapy ze swej koi, starannie je złożył i szybko powiązał sznurkami. Potem cicho pobiegł korytarzem do śluzy portu dokującego. Brownie już tam był, w ciemności, zapinając ostatnie zaciski swojego kombinezonu ciśnieniowego. Sabo wręczył mu mapy i zaczął mozolnie zakładać własny skafander, dysząc w ciemności.

Wtedy w jego uszach zadźwięczał alarm, a śluzę zalało jaskrawe światło. Sabo stanął jak wryty, z krzykiem na ustach, wpatrując się w wejście do sterowni.

Stał w nich kapitan, otoczony przez trzech członków załogi. Uśmiechał się szeroko, w paskudny, zły sposób, jego oczy były twarde i pozbawione humoru. W dłoni mocno ściskał brzydki pistolet energetyczny. Stał tam i szczerzył zęby, a jego głos palił jak ogniem uszy Sabo.

— Szkoda — miękko powiedział. — Prawie wam się udało. Problem w tym, że dwóch ludzi nie potrafi dotrzymać tajemnicy. Szkoda, Johnny, taki mądry facet jak ty. Mogłem się tego spodziewać po Brownie, ale myślałem, że ty masz więcej rozsądku…

W tym momencie coś pękło w umyśle Sabo. Z rykiem rzucił się do nóg kapitana, wykrzykując swoją gorycz, wściekłość i frustrację, chwytając łydki starca swoimi potężnymi ramionami. Kapitan przewrócił się. Sabo zaczął walczyć z nim o broń, z całych sił starając się wyrwać pistolet z chudej dłoni starca, i usłyszał swój głos:

— Uciekaj! Dalej, Brownie, zmywaj się stąd!

Śluza była otwarta i zobaczył, jak sanie Brownie wysuwają się z niej w ciemność. Kapitan się zakrztusił, jego twarz zrobiła się purpurowa.

— Łapać go! Nie pozwólcie mu uciec!

Śluza zatrzęsła się i na ekranie pojawiły się niewielkie, delikatne sanie odrzutowe odlatujące od stacji, z przylegającą do nich małą skuloną postacią, kierującą się prosto w stronę otwartego włazu białego statku.

— Zatrzymać go! Działka, głupcy, działka!

Alarm wciąż dzwonił, a w pomieszczeniu kontrolnym zapanowało ogromne zamieszanie i bieganina. Trzech ludzi wskoczyło za działka pościgowe, strzelając bez celowania, w szaleńczej próbie dopadnięcia

uciekających sań. Sanie zaczęły zygzakować, gwałtownie wykręcając, gdy po obu ich stronach poczęły wyskakiwać wybuchy pocisków. Kapitan z rykiem wyrwał się z uścisku Sabo i rzucił jednego z marynarzy na podłogę, wyrywając mu z rąk kontrolki sterowania bronią.

— Wycelować duże działa w statek! Rozwalić go! Jeśli ucieknie, wszyscy za to zapłacicie!

Nagle sanie wpadły do śluzy statku i powoli jej właz zamknął się za nimi. Wściekły kapitan skierował broń na gładkie, wypolerowane płyty kadłuba obcego statku, naciskając przyciski odpalania głowic bojowych serwo. Trzy serwo wystrzeliły z satelity jak śmiercionośne osy, pędząc przez dzielącą ich przestrzeń, aż jedno z nich uderzyło w bok białego statku i eksplodowało z purpurową furią na nieprzenikliwym kadłubie. Pozostałe wpadły w chmurę ognia i przeszły przez nią, w nic nie uderzając.

Jak migocący płomień, obcy statek zapulsował, szarpał się i zniknął.

Kapitan z rykiem walnął pięścią w twardy panel sterowania, z plastiku i metalu, a potem kopnął ciężkim butem pulpit z gałkami i dźwigniami, zaś twarz zrobiła mu się fioletowa z wściekłości. Całe jego ciało trzęsło się, gdy zwrócił się do Sabo, a w oczach świeciło mu szaleństwo.

— To ty umożliwiłeś mu ucieczkę! To była twoja wina, twoja! Ale ty nigdzie nie uciekniesz! Mam cię i zapłacisz mi za wszystko, słyszysz? — Obnażając zęby w szale nienawiści, podciągnął się, aż jego twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od twarzy Sabo. — Teraz zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni, mój przyjacielu. Będziesz się śmiał w komorze śmierci, jeśli do tego czasu nadal będziesz jeszcze w stanie się śmiać! — Zwrócił się do otaczających go ludzi. — Zabierzcie go — warknął. — Zamknąć go w jego kwaterze i dobrze pilnować. A kiedy będziecie to robić, dobrze mu się przyjrzyjcie. Zobaczymy, jak teraz będzie się śmiał.

Odprowadzili go do jego kabiny, oszołomionego i ciągle zastanawiającego się nad tym, co się wydarzyło. W tamtej kluczowej sekundzie, coś stało się w jego umyśle, coś co powiedziało mu, że musi dokonać wyboru, natychmiast. Ponieważ zdał sobie sprawę, z ponurym zdziwieniem, że w tamtej chwili, gdy stanął w świetle reflektorów, mógł powstrzymać Brownie, mógł się uratować. Mógł zdobyć dla siebie część chwały i awansów, przeznaczonych dla odkrywców napędu międzygwiezdnego. Ale w jakiś sposób, w tej samej krótkiej chwili, zrozumiał także, że jedyną nadzieją dla świata był ten jeden nerwowy, wystraszony człowiek i statek, który mógł go stąd zabrać.

A teraz statek odleciał. To znaczy, że kapitan był skończony. Miał swoją szansę, przybycie statku mu ją stworzyło, a on ją zmarnował. Teraz on również będzie musiał za to zapłacić. Rząd nie będzie zadowolony, że taki statek przeciekł mu przez palce. Kapitan Loomis definitywnie był skończony.

A on? Jakoś nie miało to już znaczenia. Wykonał swój ruch, spróbował. Po prostu nie miał szczęścia. Wiedział jednak, że chodzi o coś więcej. Coś w jego umyśle śpiewało, jakieś głębokie uczucie szczęścia i nadziei wkradło się w jego myśli i nie potrafił już dłużej martwić się o siebie. Nie było dla niego nadziei; mieli go ugotowanego. Ale w głębi swego umysłu

czuł dziwną satysfakcję, wykraczającą poza strach i gorycz. W głębi serca wiedział, że *jakiś* człowiek uciekł.

Po chwili usiadł więc i zaczął się śmiać.

KONIEC